

ZBIGNIEW NIENACKI



## DO CZYTELNIKÓW

Zbigniew Nienacki  
**Pan Samochodzik i Winnetou**

powieść z serii: „Pan Samochodzik i...”

© by Zbigniew Nienacki  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Katarzyna Kołodziej  
Korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I  
w Wydawnictwie Literatura  
Łódź 2022

ISBN 978-83-8208-103-9

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630-23-81  
www.wydawnictwoliteratura.pl

Do napisania tej książki skłoniły mnie namowy przyjaciół i młodych czytelników, którzy odwiedzając moje domostwo w Jerzwałdzie na Mazurach, z troską zastanawiali się nad przyszłością Pojezierza Mazurskiego. Niewątpliwie bowiem traci ono swoje niepowtarzalne piękno na skutek zabudowania brzegów ośrodkami czasowymi.

Pisząc tę książkę, dałem się wziąć na lep pochlebstw, że jestem niejako predysponowany do podjęcia tego tematu, gdyż łączę w sobie dwie postawy: turysty-wodniaka, buszującego po jeziorach, i zarazem kogoś, kto mieszka tam na stałe. Widzę, jak mechaniczne piły obalają dwusetletnie sosny i buki, obserwuję z roku na rok zwiększającą się inwazję turystów, a biały żagiel mojego jachtu pozostaje na jeziorach aż do późnej jesieni; gdy pustoszeją akweny, na brzegach pozostają tylko sterty śmieci, butelek i opakowań, fale zaś kołyszają smugi rozlanej oliwy z silników motorówek i ślizgaczy.

Mogłem opisać w tej książce konkretne miejscowości i jeziora, wymienić z nazwy ośrodki czasowe, których urządzenie i sposób użytkowania godne są największego potępienia. Wymyśliłem jednak ów Złoty Róg, Oślą Łąkę i Jezioro Zmierzchun, aby wielu mogło się w tej książce odnaleźć i zrozumieć swą winę.

Początkowo książka ta miała być pastiszem, naśladownictwem literackiej powieści indiańskiej i przygodowej. Czytelnicy i wielbiele tego gatunku zapewne odnajdą u mnie jakby echo swoich lektur, strzępy i zbitki znanych im skądinąd sytuacji.

Ale w miarę tworzenia forma wymknęła się spod mojej kontroli, angażując mnie bardziej, niż się tego mogłem spodziewać. Oczywiście,

brzmia w tej książce echa wspomnianych lektur, lecz już bez tej zamierzonej lekkiej drwiny. Albowiem odzywają się one w każdym z nas, gdy znajdzie się twarzą w twarz z niekłamaną przyrodą. Przypominają się wtedy historie o Winnetou i tropicielach śladów, o włóczęgach, trampach i wspaniałych żeglarzach. Na czas urlopu, oderwany od swych codziennych zajęć, niemal każdy turysta rozstawiający nad brzegiem jeziora płócienny wigwam zaczyna identyfikować się z idolami swojej młodości. Podnosząc żagiel na ukochanej miniłajbie, rusza, aby odkryć nieznaną łódź i spotkać prawdziwą przygodę.

Żyje we mnie nadzieja, że podobnie jak oglądam młodych harcerzy z białymi sznurami, pilnujących porządku na ulicach naszych miast, zobaczę w przyszłości specjalnie przeszkolone zastępy i drużyny zajmujące się ochroną przyrody, strzegące latem rezerwatów przed wandalizmem. Może zdarzy mi się spotkać w lasach patrol harcerskie z emblematami „Straż Ochrony Przyrody”, wdrażające niesfornych turystów w zasady przepisów o ochronie środowiska naturalnego. Komu bowiem, jak nie ludziom młodym, musi zależeć na tym, aby pozostało dla nich to, co było jeszcze i naszym udziałem – piękno i urok polskich jezior i lasów.

Ale powieść ta nie jest adresowana jedynie do młodzieży. Staralem się nadać jej taką formę, aby odrobinę zadowolenia znalazł w niej i czytelnik starszy. To my, dorośli, ponosimy odpowiedzialność za owe połacie obalonych starodrzewów, za zniszczone brzegi jezior, za smugi oliwy na wodach Pojezierza Mazurskiego. Będę szczęśliwy, jeśli ktoś z Was wstrzyma się wiosną z zerwaniem konwalii majowej, a któryś z kierowników ośrodka wczasowego zdejmie z drzew leśnych tuby gigantofonów. Albowiem ambicją chyba każdego pisarza jest nie tylko ukazywać złożoność spraw, bawić i uczyć, ale także i kształtować obyczaje.

Zbigniew Nienacki  
Jerzwałd, luty 1974

## ROZDZIAŁ I

*Kto dewastuje ruiny zamku? • Złoty Róg • Osiem stopni w skali Beauforta • Dwa klany wodniaków • W oparach dymu i w piekle hałasu • Jak wygląda Krwawa Mary? • Zamach na wolność • Tajemniczy żeglarz • Moby Dick i Swallow • Zwycięstwo Latającego Holendra • Dziwy w kawiarni • Zagłuszacz radioodbiorników • Milczący Wilk, Winnetou i Miss Kapitan*

To miały być prawdziwe wakacje. Bez rozwiązywania zagadek historycznych, bez przygód i tropienia przestępców godzących w skarby kultury narodowej. Zamierzałem wyjechać na Mazury i wypoczywać: pływać i opalać się w słońcu.

Ale w przeddzień mego wyjazdu na urlop – a było to na początku lipca – doszła do naszego departamentu w Ministerstwie Kultury i Sztuki wiadomość, że pewien wielki zakład przemysłowy, posiadający swój ośrodek wypoczynkowy w miejscowości Złoty Róg nad jeziorem Zmierzchun, postanowił rozebrać znajdujący się nieopodal stary zamek i na jego miejscu zbudować klub-kawiarnię. W tej sytuacji dyrektor Marczak, któremu podlegały nie tylko muzea, lecz i sprawa ochrony zabytków, polecił mi, abym jadąc na wypoczynek, niejako po drodze, zbadał sprawę na miejscu. Nie pierwszy to bowiem już raz musieliśmy przeciwdziałać zamachom na zabytkowe budowle, które przeróżne instytucje próbowały rozbierać lub przerabiać bez zgody głównego lub wojewódzkiego konserwatora. Usiłowano je unowocześnić, przystosować do nowych

potrzeb, nie uwzględniając jednak faktu, że w ten sposób tracą swój pierwotny historyczny charakter.

Tak było i tym razem. Dlatego, nie namyślając się wiele, wyszukałem na mapie jezioro Zmierzchun – nigdy bowiem tam nie byłem – i zabrawszy z archiwum teczkę z dokumentacją dotyczącą zamku w Złotym Rogu, nazajutrz wczesnym rankiem wsiadłem w swój wehikuł i wyruszyłem w drogę.

Dzień był słoneczny, ale niezwykle wietrzny. Na niebie nie było ani jednej chmurki, wiał jednak tak silny wiatr, że na otwartych przestrzeniach samochód nieomal spychało do rowu. Aby utrzymać właściwy kierunek, trzeba było nieustannie nadrabiać kierownicą, jechać wolno i ostrożnie.

I dlatego dopiero po pięciu godzinach jazdy od Warszawy zobaczyłem drogowskaz z napisem „Złoty Róg – 10 kilometrów”. Strzałka wskazywała boczną, wąską, asfaltową drogę, prowadzącą w głąb wielkiego kompleksu leśnego. Skręciłem w nią i odtąd po obydwu stronach drogi rozciągały się lasy cienistych buków. Aż do Złotego Rogu nie dostrzegłem żadnej wsi, żadnego osiedla – wymarzone okolice dla kogoś, kto szuka spokoju i samotności.

Lecz oto las się nagle skończył. Ujrzałem ogromną toń jeziora aż białego od piany, którą niosły potężne, rozkołysane przez wiatr grzywacze. Po prawej stronie las ciągnął się nieprzerwaną ciemną linią aż po horyzont, gdzie jezioro zwężało się w przesmyk, łączący je z drugim, nieco większym, i trzecim – jeszcze większym jeziorem. Dalej, jak to wiedziałem z mapy, prowadził kanał wiążący te trzy akweny z potężnym zbiornikiem Śniardw.

Asfaltowa szosa skręcała na lewy, niezalesiony brzeg i kończyła się ślepo przed bramą dużego ośrodka wypoczynkowego, usytuowanego na piaszczystym półwyspie. Już z daleka widać było dziesiątki brzydkich domków kempingowych, a nieopodal półwyspu, na niewysokim wzgórzu obrosniętym starymi drzewami

wznosiły się brunatne ruiny starego zamku: na wpół zrujnowana wieża i kawałek ściany z oczodołami okien.

Wzdłuż szosy prowadzącej do ośrodka wypoczynkowego, tuż nad brzegiem jeziora, rozciągało się kilkanaście zagród chłopskich i domów. Najpierw widoczne były kompleksy czerwonych dachów zabudowań nadleśnictwa Złoty Róg, potem zagrody chłopskie i drewniany długi hangar nad wodą, zapewne rybaczkówka. Jeszcze dalej stał zbudowany z prefabrykatów betonowych i szkła pawilonik kawiarni gminnej spółdzielni oraz czerwony budynek poczty, sklep, szkoła podstawowa i remiza strażacka. Na końcu znajdował się ośrodek wypoczynkowy i tu się kończyła szosa, a za ośrodkiem, już w lesie, rozciągała się duża polana pełna różnokolorowych namiotów i cumujących przy brzegu żaglówek – zapewne pole namiotowe.

Turyści zasiedlili chyba także maleńką wysepkę znajdującą się na przedłużeniu półwyspu i stanowiącą jakby małą kropkę nad i, bo właśnie literę „i” przypominał półwysep zajęty przez ośrodek wczasowy. Wokół wysepki kołysało się na falach kilkanaście motorówek, w zieleni drzew i krzaków prześwitywały płótna namiotów.

Czułem się zmęczony podróżą i przed przystąpieniem do czynności służbowych – obejrzenia zamku i rozmowy z kierownictwem ośrodka – postanowiłem się pokrzepić szklanką czarnej kawy. Zatrzymałem więc wehikuł na małym parkingu przed kawiarnią, gdzie stało już kilka samochodów. Wysiadając z wehikułu, rozprostowując nogi i plecy, zobaczyłem, że od strony jeziora kawiarnia posiada bardzo ładny taras ze stolikami. Od tarasu schodził do wody drewniany pomost, przy którym po lewej stronie kołysało się na falach kilka żaglówek, a po prawej kilka łodzi motorowych. To zapewne wichura szalejąca na jeziorze spędziła wodniaków do brzegów, jednych pod namioty, innych do kawiarni, gdzie mogli w zaciszu poczekać, aż wiatr przestanie dąć i uspokoją się fale.

Nawet taras kawiarniany okazał się zupełnie pusty, nikt bowiem nie chciał się wystawiać na uderzenia wichury, która w porywach osiągała chyba siłę ośmiu stopni w skali Beauforta.

Otworzyłem drzwi kawiarni i nieomal się cofnąłem. W twarz uderzyły mnie gęste kłęby dymu tytoniowego, a bębniaki uszu boleśnie zareagowały na wrzask kilku grających radioodbiorników turystycznych. Dym potrafię znieść, ponieważ sam palę, lecz na hałas reaguję gwałtownie i boleśnie. Nie ma dla mnie nic bardziej nienawistnego niż widok młodzieńca czy dziewczyny – idących po ulicy lub alei parkowej, na brzegu morskim czy nad jeziorem – z grającym aparatem tranzystorowym w ręku. Uważam za szczyt chamstwa i nietaktu, gdy ktoś z grającym aparatem wchodzi do publicznego lokalu i zmusza wszystkich do słuchania tego, czego on sam słucha.

Ale tu nie miałem wyboru. Chciałem się napić kawy, więc musiałem wejść w dym i hałas. Z trudem – poprzez siłą zasłonięty tytoniowy smród – odkryłem pusty stolik w rogu sali. Poprosiłem kelnerkę o szklankę podwójnie wzmocnionej kawy i zamierzałem zaproponować otwarcie okna, ale pomyślałem, że na nic to się nie zda, ponieważ to wichura na dworze spowodowała, że okna zostały zamknięte, aby nie wyrwało ich z futryn. Innymi słowy, należało przypuszczać, że w bezwietrzny dzień w kawiarni jest znośne powietrze. Ale ten hałas? Tych kilka radioodbiorników – czy wyły tutaj każdego dnia? Pamiętając o motorówkach, które widziałem koło wyspy i przy pomoście kawiarni, pomyślałem, że w takim hałasie przenigdy nie chciałbym spędzić urlopu w Złotym Rogu. Załatwię sprawę starego zamku i odjadę stąd natychmiast tam, gdzie jeszcze można posłuchać szumu wiatru i bełkotu fal.

Kawa okazała się nad wyraz dobra. Pijąc ją drobnymi łykami, zacząłem bezwiednie rozglądać się po sali, próbując się zorientować,

jakich to turystów i wczasowiczów zwabiają lasy i jeziora w Złotym Rogu.

Od razu się rzuciło w oczy, że klientela kawiarni dzieliła się na dwie zasadnicze grupy. Po prawej stronie siedzieli chyba żeglarze, co poznawało się po białych kurtkach, brodatych twarzach, fantazyjnych kapeluszach. Po lewej zaś zajmowali stoliki motorowodniacy – w skórzanych kurtkach, w wybrudzonych smarami spodniach. Motorowodniaka poznać zresztą bardzo łatwo. Na naszych wodach rzadko spotkasz łódź z silnikiem typu Johnson lub Merkury. Przeważają hałaśliwe bzykacze-dwusuwy: warty, tummlery, D-6, moskwy, wichry. A jeszcze nie zdarzyło mi się spotkać dwusuwowego silnika, który pracowałby na wodzie bezbłędnie, nie zalewałaby mu się świeca, sprawnie działał iskrownik, nie zatykał się gaźnik. Dlatego każdy właściciel takiego silnika po jakimś czasie ma za paznokciami i na ubraniu trudno usuwalne ślady oleju.

I właśnie – sprawa dość charakterystyczna – na stolikach motorowodniaków stały ryczące aparaty radiowe. No cóż, hałas motoru ślizgacza siłą rzeczy przytępią słuch. Gdy płynie się z takim silnikiem, trzeba głośno krzyknąć, aby się porozumieć, i nic dziwnego, że potem trzeba słuchać radia na pełny regulator.

Inaczej zupełnie żeglarstwo. To sport cichy, wymagający skupienia i spokoju. Szanujący się żeglarz śródlądowy nie tylko nie wchodzi na żaglówkę w butach, ale nie zabiera ze sobą w rejs aparatu radiowego. Etyka żeglarska zakazuje gwizdać i krzyknąć na wodzie, nawet podnoszenie głosu jest niemile widziane. I nic dziwnego, że sport ten wychowuje ludzi, którzy nie tylko kochają wiatr, lecz i szanują ciszę. Nawet gdy wyjdą na ląd.

Nie dziwiłem się więc, zauważając niechętnie spojrzenia, jakie żeglarze posyłali w stronę motorowodniaków. Rozumiałem również, dlaczego siedzieli oddzielnie, dlaczego po przeciwnych stronach pomostu kawiarnianego cumowały żaglówki i motorówki,